

P 5096/2, 1925 *dobryc* *wsymp P 5096*
B I E S I A D A

P I S M O T Y G O D N I O W E I L U S T R O W A N E
R E D A K C J A I A D M I N I S T R A C J A : W A R S Z A W A N O W Y - Ś W I A T 5 0 , T E L . 2 9 1 - 6 0

W A R S Z A W A 1 1 S T Y C Z N I A 1 9 2 5 R O K I I N R 2

N A S Z E S P R A W Y

I N T E L I G E N C J A W D E M O K R A C J I .

N ajistotniejszą zasadą prawną demokracji jest zasada, że każdemu obywatelowi są dostępne wszystkie stanowiska w społeczeństwie. Nikt nie może być od nich wyłączony, bez względu na majątek i pochodzenie. Jedyny zaś warunek, który w demokracji współobywateli faktycznie różnicuje, różnicować będzie i różnicować musi, to inteligencja wrodzona wraz z wykształceniem. Co więcej: czyste panowanie demokracji winno być niepodzielnym panowaniem inteligencji. A rozwój prawny ustroju demokratycznego winien stopniowo tłumić wpływy innych czynników na rzecz inteligencji. A więc przedewszystkiem — wpływy wszelkiego rodzaju posiadaczy, zawsze rwących się do władzy. O pochodzeniu nie mówię, gdyż przestarzałe pretensje z tego tytułu, które się czasem budzą z ukrycia, tak są dalekie od pojęć dzisiejszych, że bardzo łatwo pokonać je zawsze i usunąć.

Władza faktyczna i wszelkie kierownictwo spraw winno spoczywać w ręku tych, co mają mózgi sprawne z natury, a przez wykształcenie jeszcze bardziej usprawnione i dostosowane do dzisiejszego stanu wiedzy ludzkiej. Ale dodajmy, że aby sprawować władzę, trzeba mieć nadto wolę dość mocną i ruchliwość życiową. Inteligent bystry i dzielny, to „król” i „pan” naszych czasów. Nie majątki olbrzymie, nie imię dostojne, lecz mózg bezimienny dzielnej jednostki — oto podstawa do władzy w świecie nowoczesnym.

Taka jest zasada i tendencja życia nowoczesnego. Od samej zaś inteligencji zależy, czy zasadę tę coraz powszechniej i kategoryczniej wcielać będzie w życie, czy też pozwoli, aby ją ktoś skrzywił, zepchnął z torów, a może i odwrócił wprost przeciwną. Jest kilka warunków nieodzownych ku

temu, aby zasada rzeczona iściła się coraz szerzej i coraz gruntowniej. Jakież to są owe warunki?

Najprzód należy wysunąć warunek wewnętrzny urobienia jednostki. Wszystko, co sprzyja rozwojowi nauki i rozszerzeniu wykształcenia, to potęguje ową tendencję i przyspiesza niepodzielne panowanie sprawnego mózgu. Podstawą zaś ku rozwojowi nauki i wykształcenia wyższego musi być oświata powszechna i bezpłatna, aby z rezerwoaru ludzkiego wydobyć snadno jednostki natury bogatszej. Z tej samej wychodząc potrzeby, i dalsze wykształcenie winno być możliwie ułatwiane, zwłaszcza dla jednostek wybitnych. Pozatem jaknajwyższy poziom oświaty szerokich rzesz jest potrzebny, aby sprawniej i ekonomiczniej organizować życie i niem kierować.

Atoli, jakeśmy już wspominali, sprawność mózgu musi się łączyć z dzielnością życiową. Typem inteligenta nowoczesnego nie może być okaz, podupały fizycznie i z rozstrojonemi ośrodkami woli. Wszystko zatem, co usprawnia — nietylko mózg lecz i — mięśnie, co potęguje wolę, musi należeć do programu demokracji, do programu inteligencji, zdobyczącej należne jej z natury stanowisko. Ochrona przed zwyrodnieniem fizycznym, walka z antyhygienicznymi warunkami życia dzisiejszych miast — stanowi tutaj pozycję wybitną.

Lecz powie kto: czemuż są te wszystkie plany, programy i zasady — czy nie złudą, czy nie urągowskiem, jeśli zważymy, jakie ciężkie dziś jest położenie szerokich kół inteligencji. — Otóż właśnie powiedzmy to sobie wyraźnie i mocno, że nieodpartym warunkiem postępu w tej mierze jest również organizacja zawodowa inteligencji we własnym łonie podług specjalności i walka obronna wobec zakusów

wyzyskiwaczy. Obrazą inteligencji, do podstaw sięgającą, jest przemoc kapitału nad nią. Z pociechą przyznać trzeba, żeśmy się znacznie posunęli pod tym względem. Niedawne czasy, gdy inteligencja była tak rozbita, rozproszkowana i podmuchom zmiennych warunków gospodarczych jak piasek podatna — minęły już właściwie. Mamy dziś całe szeregi związków zawodowych inteligencji i związki tych związków. Nic innego tutaj wysuwać nie można, jak tylko wymagać, aby inteligencja nadal stale i coraz sprężystiej się organizowała.

Jeśli chodzi o ten kwiat ludzkości, jakim jest inteligencja, to każdy od niej i ona sama od siebie wymagać musi wydajności i twórczości. Jest to warunek snujący się logicznie, w samym pojęciu inteligencji tkwiący. Jak najwięcej pracy, jak najwięcej wydobytej ze siebie energii dla postępu i dobra człowieka, jak najwięcej ofiar nawet — oto czego wymaga się od tej grupy. I inteligencja wymogom tym sprostać musi. Są one warunkiem koniecznym postępu, a także warunkiem koniecznym, aby utrzymać inteligencję na tym poziomie, na którym winna się znajdować. Nietylko bynajmniej w zawodzie swoim, ale i poza nim w pracy społecznej winna inteligencja pracować jak najusilniej. Duch ofiarny — ten duch tak obcy zdobywcom zło-

ta i próżnych zaszczytów — to duch inteligencji właśnie. Masy, walczące w zamęcie i w splocie powikłanych interesów o poprawę bytu, o ustalenie demokracji — o tyle tylko cenią inteligencję, o ile widzą ją ze sobą przy pracy. Na żadnym stanowisku, w żadnej dziedzinie życia nie może zabraknąć inteligentów ruchliwych, czynnych, oddanych duszą sprawie, którą czynią.

Aż z chaosu dzisiejszych walk wytworzy się nowy porządek. Walki w nim nie ustaną, są bowiem atrybutem życia — przeniosą się tylko w inne sfery i przybiorą szlachetniejsze kształty. W tym nowym porządku inteligencja, oparta na mocnym gruncie racjonalnych przedmiotowych przesłanek i wniosków, będzie bezsprzecznie przewodniczyła światu i powiedzmy — panowała, jeśli to słowo nie jest anachronizmem na takie stosunki. Będzie się opierała na czułym kontakcie z masami, wznoszącymi się coraz wyżej i na ich zaufaniu. A kapitał i wszelkie środki postępu i dobrobytu muszą być poddane inteligencji i ulec jej kierownictwu, jako przyrodzonej przewodniczki ludzkości. Dokonać zaś tego musi i przyspieszyć to dzieło może nikt inny, jak sama inteligencja. Trzeba chcieć i trzeba działać.

CZ. ROKICKI.

POWIEŚĆ — POEZJE — OPOWIADANIA

K. A. CZYŻOWSKI.

ZWIĄZEK CHUSTECZKARZY.

(Humoreska na arję: „Ja jestem „miasto“, nie bałagan..“)

Sławne to zebranie rady miejskiej w Zabłockowie odbyło się w ratuszu (tam, gdzie kryminał, pierwsze drzwi na prawo) dnia bieżącego, w miesiącu zwykłym, roku pańskiego.

Chodziło o rzecz niebylejaką i rada miejska z panem burmistrzem na czele dobrze się głowiła nad trudną do rozwiązania zagadką, a mianowicie, od czego jeszcze ma miasto ściągnąć podatek ze swych obywateli.

Pan burmistrz Masarzewicz (był z dziada prabogacza świniobójcą) odrazu na początku posiedzenia oznajmił, że wprawdzie miasto Zabłocków ma już moc różnych ciekawych podatków, ale „to trudno“, na jeden jeszcze musi się miejsce znaleźć, bo nareszcie „miasto“ musi sprowadzić prawdziwie osli bęben do strażackiej orkiestry i hyclowi miejskiemu szyld wymalować.

Wydatek będzie nieduży, więc i podatek może być nieduży, ale być musi.

Przystąpiono tedy dla pociechy wyliczać istniejące już podatki. A więc:

- | | |
|------|-------------------|
| 1 — | Podatek dochodowy |
| 2 — | „ odchodowy |
| 3 — | „ zachodowy |
| 4 — | „ wschodowy |
| 5 — | „ obchodowy |
| 6 — | „ nachodowy |
| 7 — | „ wchodowy |
| 8 — | „ wychodowy |
| 9 — | „ objazdowy |
| 10 — | „ dojazdowy |
| 11 — | „ wyjazdowy |
| 12 — | „ przejazdowy |
| 13 — | „ przyjęciowy |



BOLESŁAW KUŹMIŃSKI.

W MOIM DOMKU.

14 —	„	wyjęciowy
15 —	„	objęciowy
16 —	„	wyborowy
17 —	„	podatkowy
18 —	„	dotatkowy
19 —	„	datkowy
20 —	„	wogóle
21 —	„	w szczególności

Pan pisarz... przepraszam: sekretarz — Pisarkiewicz już zachrypl, a jeszcze do końca listy było dość daleko.

Zatem pan burmistrz, widząc, że ławników i radnych sen morzy(mór — zaraza wogóle magistracka), krzyknął z rozpaczy:

— Dość, panie bdiu!! Wszystkie te podatki godnie służą urzędowi podatkowemu do urzędowania. Raczej myślny panowie nad tem, na co i za co ma być nowy podatek nałożony.

— Hm, hm. — Wypowiedział swoje stałe od urodzenia zdanie garbaty garbarz Garbusinek (żonaty dla garbatego losu z grabarzówną).

— A ja myślę, — zapiszczał radny pan Gracjan Piszczalkiewicz (starszy protokulant sądowy, pogromca donżuanów i wogóle człowiek moralny i dzieciaty) — ażeby nareszcie nałożyć podatek na tych pijaków, zawadjaków, kawalerów, szlifbruków i strojnisiów.

Gromki, acz piskliwy głos pana Piszczalkiewicza, znanego mówcy, obudził radę miejską, do woźnego włącznie. Wiedzano, że gdy przemawia on, to on przemawia. Więc podniosły się wszystkie głowy i poczęły słuchać z zainteresowaniem.

Tymczasem pan Piszczalkiewicz, piszcząc, gromił dalej:

— Bo taki jeden z drugim urwipoleć...

— Przepraszam! bez osobistych aluzji. Przerwał pan burmistrz.

— ...urwipoleć — zastanawiał się na głos Piszczalkiewicz...

— Panie radny Piszczalkiewicz — zwrócił mu burmistrz ostrą uwagę — nie „urwipoleć“.

— A jak, panie burmistrzu Masarzewicz?

— „Urwipoleć!“

— Zgoda! Zgoda! Urwipoleć!! To właśnie trafia w jądro sprawy. A więc taki jeden z drugim urwipoleć, nic nie robi, spaceruje po chodniku całymi godzinami, zawdzieje zawadjacki kapelusz, w kieszonkę wsadzi fantazyjną chusteczkę i myśli, że jest piękny. Ale żenić, to się nie chce! A ja, a my, a panowie... a wogóle są córki na świecie i chcą i powinny i mogłyby... i wogóle zamaż kto pójdzie, jak nie one, a niema za kogo! Im fru-fru w głowie: w kieszonce chusteczka! Na tych panowie nałożmy podatek! Chcą szlifować bruki, — dobrze! Ale płacić!!

(„Brawo!! Brawo!!“ Ukłony mówcy i 16 kropli potu).

— Skończyłem, panowie, ale jeszcze będę mówił!

— Brawo! Ja pierwszy przychyliam się do wniosku pana radnego Piszczalkiewicza! — Poparł projekt pan burmistrz.

— Hm, hm, — oznajmił twardo garbaty garbarz Garbusinek.

— I my też! — zahuczało 58 pozostałych rajców.

(Zabłocków ma 1500 ludzi na 3 km², w czym przewaga alfa-betów).

Wniosek więc przeszedł jednogłośnie (a więc 1=60 i burmistrz).

— Ale niby, za co oni mają ten tego płacić to i owo? — zapytał pan Głędzik, nauczyciel i badawca ziemniaków jadalnych.

— Tak, tak, racja! Za co ma być ten podatek? — oznajmił pan burmistrz.

— Hm, hm! — (Garbusinek).

— Ja myślę... choćby... a gdyby... możeby... — namyślał się pan Piszczalkiewicz, skrobiąc się w kark. I nagle jakby natchnieniem rażony, zapiszczał najwyżej:

— Jest! Jest!

— Kto? Co? Gdzie?

— Pchła! — I pan Piszczalkiewicz wyjął z za kołnierza wielką magistracką brunetkę.

— Ależ podatek, panie radny! — Oburzył się pan burmistrz.

— Aha, podatek. Otóż możeby, ja proponuję, aby płacili podatek od laseczek.

— To niemożliwe!

— Dlaczego??

— Bo i my nosimy laski.

— No to... możeby.. jest!! jest!

— Daj pan spokój tym niespokojnym owadom, tu chodzi o dobro „miasta!“

— Ależ ja mówię, że jest pomysł!

— No to tak pan gadaj.

— Niech płacą od tych fantazyjnych chusteczek, które noszą w kieszonkach. Przecież to panowie chorrrendum!! Taki urwipoleć.

— Panie; Bez aluzji. Nie „poleć“, tylko „płeć“ powtarzam. — Oburzył się znowu pan Masarzewicz.

— Tak, tak, przepraszam, urwipoleć, wsadzi w dziurę chustkę i myśli, że cały świat do niego należy!

— Racja!! Niech płacą od chusteczek!!

— Zgoda!!

— Hm, hm!!

I na tem też stanęło. Postanowiono podatek od każdej chustki. Ściągać go miało — szczególnie w niedzielę — 2 woźnych miejskich i 3 umundurowanych strażaków. Wysokość podatku wynosiła 35 groszy od sztuki.

Ów dzień bieżący wypadł w sobotę, a już nazajutrz postanowiono uchwałę „puścić w ruch“, jak mówią w Zabłockowie.

Na tem sławne zebranie pan burmistrz Masarzewicz zamknął i rada miejska, pełna chwały i dumy rozeszła się do domów, nie przewidując ani na jotę, co z tego wszystkiego wyniknie.

B. SCHMIDTÓWNA.

BAJKA O PEWNEJ LILJI.

Józiowi K. poświęcam

Na stawie, co zawierał mniej wody, niż błota,
 Zakwitła lilja biała, w środku szczyroztota
 Otoczona listkami o kształcie foremnym
 Rosta i kwitła lilja w swym światku nikczemnym,
 Rosta i kwitła lilja wśród błotnej gawiedzi—
 Odwiedzali ją często znajomi sąsiedzi,
 Żaby, kraby, pijawki całemi rojami
 Gawędziły z nią nieraz—zwłaszcza wieczorami.
 Aż kiedyś — w dzień słoneczny, pogodny, majowy,
 W dzień, co rozmarza dusze i upaja głowy,
 W dzień, w którym biją słodko serca zakochane.
 Nad lilją rozpiął motyl skrzydła swe różane
 I, dotknąwszy w przelocie płatków lilji wodnej,
 Poptłynął w dal — przycuduy. beztroski, swobodny...
 Lecz liljce nieszczęście przyniosła ta chwila,
 W której raz pierwszy w życiu ujrzała motyla.
 Poczuta się samotną wśród żab, krabów, błota,
 Ogarnęła ją nagle wszechmocna tęsknota

Do słońca i przestrzeni, do drzew i do ptaków,
 Bujających swobodnie wśród niebieskich szlaków!
 Zrodzona z nenufarów—zbyt dumna i czysta,
 By mogła za motylem płynąć, oczywista,
 Tęskniła jednak skrycie za ślicznem mamidłem,
 Co musnęło ją w locie swem tęczowem skrzydłem.
 Minęło sporo czasu.. powoli, powoli,
 By zapomnieć o wszystkim, co gnębi i boli,
 Poczęła się liljka rozglądać wokół,
 Spostrzegła, że w tem błotku jest jednak wesół,
 Że żaby są gościnne, miłe, towarzyskie,
 No i, jako sąsiadki, tak niezmiernie bliskie,
 Nie trzeba o nich marzyć, ni tęsknić, ni płakać,
 Zechcieć tylko, a zaczną wnet po płatkach skakać.
 Motylowi? — Bezwzględnie, że byłaby rada,
 Lecz płynąć za nim.. samej.. nie, to nie wypada —
 No i w końcu...

W ów wieczór wśród innych jedyny,
 W wieczór, co niesie światu szaleństwa godziny,

Kwiat lilji, taki biały, jako śnieżne puchy,
 Zamknął swoją koronę w objęciach.. ropuchy.

N A G Ó R Z E L O D O W E J.

Szanowni dżentlemani, którzy pijecie mroźne koktele przez słomkę, kołysząc się w wygodnych bujakach na tarasie kasyna, chciałbym bardzo zobaczyć waszą minę, jakabyście zrobili, gdybyście się nagle znaleźli na środku oceanu, na górze lodowej, która się topi powoli, twarz w twarz z wygłodniałym niedźwiedziem.

A jednak to mi się zdarzyło, przed dziesiętkiem lat i jeżeli moje włosy są białe, chociaż nie mam jeszcze 35 lat, to zawdzięczam temu przekłętemu zdarzeniu.

Powiedziawszy to Mac Phree, zapalił papierosa i rzuciwszy daleko palącą się zapalkę, podjął:

— Chcielibyście usłyszeć o tem? Posłuchajcie! Kiedy jest się młodym, ma się ochotę do podróżowania — jakieś pragnienie nieznanych rzeczy... To wam objaśni, dlaczego przyjąłem udział jako pomocnik naturalisty w ekspedycji Parn i Scow, którym rząd szwedzki polecił przeprowadzić inwentaryzację fauny i flory w strefach biegunowych.

W niespełna miesiąc potem zarzucaliśmy kotwicę u przylądka Lincolna pod 75 stopniem szerokości północnej. Była to prawdziwa rozkosz. Okręt był wygodny. Stosunek towarzyski między uczestnikami

jaknajlepszy. Praca nadzwyczaj interesująca. Nasza wólcęga miała trwać dwa lata.

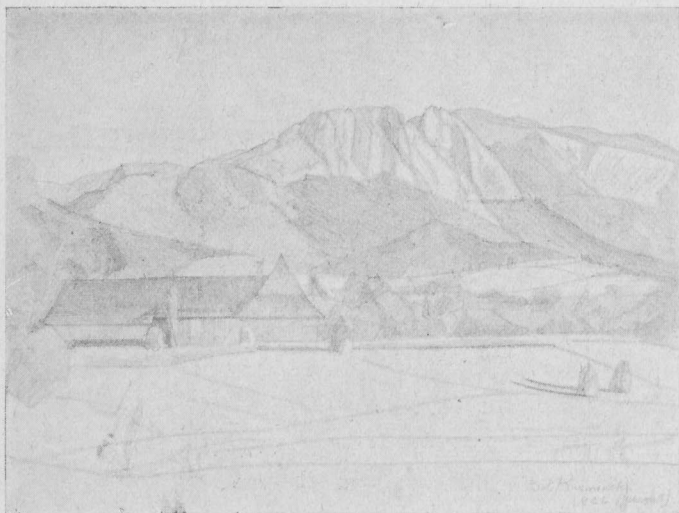
Lato zeszło wyjątkowo szybko. Rozbiliśmy zimowy obóz. Czas szybko mija. Ci, którzy zakosztowali wielkiego spokoju na lodowcu bezludnym, powiedzą wam, że tęsknota za tem już na zawsze pozostaje.

W końcu wybiła godzina powrotu. Całą szybkością śrub okrętowych podążyliśmy przez cieśninę Dawisa na Ocean Atlantycki. Jeszcze tydzień, a ujrzelibyśmy brzegi Norwegii.

W tym to momencie zdarzyła się katastrofa. W ciemną bezgwiezdną noc uderzyliśmy w górę lodową. Nasz okręt, idąc całą siłą pary, rozbił swój przód o jedną z tych olbrzymich gór lodowych, które oderwane od swoich złóż polarnych, wypływają na ocean, niesione prądami.

Co się właściwie stało? Nie wiem. Znajdowałem się właśnie na moście, gdzie przy świetle latarni ustawiałem swe skrzynie. To właśnie mię uratowało. Uderzenie było tak gwałtowne, że znalazłem się pod masztem. Zemdlałem.

Kiedy przyszedłem do siebie, był dzień. Znajdowałem się na bloku lodu o powierzchni kilkuset me-



B. KUŹMIŃSKI.

GIEWONT.



B. KUŹMIŃSKI.

OBEJŚCIE GÓRALSKIE.

trów kwadratowych. Z okrętu nie było ani śladu. Poszedł na dno z całą załogą! Kilka zaledwie kawałków drzewa unosiło się na powierzchni morza.

Uświadomiłem sobie całą okropność swego położenia.

Znajdowałem się na pełnym oceanie na maleńkiej wysypce, i jedną miałem perspektywę: śmierć głodową.

Nagle wydałem okrzyk zgrozy. Moja pozycja była jeszcze tragiczniejsza niż sobie wyobrażałem. Miałem towarzysza... niedźwiedź... olbrzymi niedźwiedź arktyczny, z gatunku najniebezpieczniejszych.

W jaki sposób on się znalazł na tym bloku lodowym, oderwanym prawdopodobnie z powodu zderzenia od icebergu? Nie była to oczywiście chwila, aby zastanawiać się nad tem.

Przez chwilę był spokojny, i zdawało się, że drzemie. Jak długo to mogło trwać? Chwila jeszcze, a uczucie głodu obudzi go z tego pozornego bezwładu.

Byłem bezbronny.

Jak się obronić kawałkiem drzewa, który leżał opodal, a który on zgniótlby na drzazgi w jednej chwili w swych strasznych szczękach?!

I w rzeczywistości zwierzę się obudził. Dojrzał mię i wydał straszny ryk. Byłże to okrzyk radości na widok tak bliskiej zdobyczy?

Poruszył swoją małą głowę i robiąc straszny grymas otworzył paszczę, pokazując straszne kły.

Tymczasem, zanim rzucił się na mnie, zawahał się. Dzikie zwierzęta przez instynkt, boją się ludzkich postaci, kiedy ich nie znają.

Kilka godzin w ten sposób minęło. Słońce się podniosło. Było dosyć ciepło.

I nagle spostrzegłem nowe niebezpieczeństwo. Pod promieniami słońca bryła lodowa, na której

się znajdowałem, nie topniała! Brzegi jej zaczęły pogrążać się w oceanie i czułem jak drzy pod moimi nogami.

Jaka śmierć mię czeka? Czy będę rozszarpany przez niedźwiedzia, czy pójdę na dno morskie w ślad za towarzyszami?

W takim to momencie, szanowni dżentlemani, żałuje się swego spokojnego stanowiska demonstratora na wszechnicy w Sztokholmie.

Lecz było już zapóźno, aby się oddawać takim rozmyślaniom.

Mimo to takie myśli przychodziły mi do głowy, kiedy nagle, zdawało się, że niedźwiedź powziął decyzję. Podniósł się na tylnych łapach i wydając straszny ryk, wyciągnął przednie łapy do mnie, jakby pragnął mnie objąć.

Byłem stracony.

Cofnąłem się, i niedźwiedź posuwał się naprzód.

Już doszedł do połowy odległości, jaka nas dzieliła, i ja sądziłem, że wybiła moja ostatnia godzina, kiedy nagle blok lodowy, na którym znajdowaliśmy się pękł na dwoje; część, na której niedźwiedź się znajdował utonęła, pogrążając go w wodę, a moja część w dalszym ciągu unosiła się na powierzchni.

Z całą przytomnością umysłu, uchwyciłem gałąź w dłonie i posługując się nią jak wiosłem, oddaliłem się od mego przeciwnika.

Niedźwiedź polarny jest złym pływakiem. Naprawdę starał się zbliżyć do mnie. Nie udało mu się to. Parę minut walczył z falami i wreszcie poszedł na dno.

Byłem uratowany.

Nazajutrz, ujrzałem okręt w oddali. Dawałem doń rozpaczliwe znaki. Dojrzeli mnie, przyczli mi z pomocą, i zabrali mnie.

Moje włosy były całkiem białe...

JANUSZ ODYNEC.

W ZIMOWY SZARY ZMIERZCH.

Zapada zimowy szary zmierzch. W tym mroku moja uboga izdebka mniej ubogo wygląda, a po słocie ulicy jest w niej nawet zacisznie, przytulnie. Stara moja, wytarta otomana przygarnia mnie poczciwie do swych sprężyn kulek.

Jestem u siebie. I cóż mnie obchodzi, że na świecie wiatr deszczem zacina, że błoto... Ach, tyle, tyle błota!

.....Tu mnie nic nie dosięgnie!

Za ścianą ktoś gra na fisharmonji. Kto to być może?... Jakiś stary emeryt w błękitnych okularach?... — Ach nie! — Wysuszona artretyczna wdowa?... O, nie, nie... Nigdy! — Może?... Już wiem! To... gra... na organach w kaplicy zamkowej... Halszka! Kasztelanka Sierakowska. Tak, to ona! A ja jestem mistrzem weneckim, który ten zamek zbudował, a jutro mam wracać do swej ojczyzny. Sam... Bez Halszki... Czem świt mam się wynosić nie dokończywszy budowy, bom śmiać podnieść oczy na kasztelankę. Wynosić się! Ja, mistrz wenecki, królów konfident! Ja, Giuseppe Coletti! Giuseppe Coletti nie godzien polskiej kasztelanki! O, barbarzyńcy!

.....I nawet mi spojrzeć na nią nie wolno!... A ona tak słodko gra!... Może to skargę gra na swój los nieszczęsny?... Wszak była mi przychylna... A może... może mi daje znak, gdzie jej szukać?... Może przyzywa?...

.....Noc ciemna. Na linie przez okno się zsunę... Drzwi od zakrystji otwarte.

Tak! Już jestem! Nie słyszała jak wszedłem. Stoję przy schodkach na chórze — Ona gra. Jak cudnie gra! Na tle lampy wiecznej jej głowa, w otoczu puszystych włosów, świeci glorią złocistą jak świętej. Patrzy gdzieś w górę, gdzie nad ołtarzem wysoko, roztopiony w cienu, Chrystus wisi.

Skończyła! Już klęczę przy jej kolanach, jej ręce kochane całuję.

— Ach! Kto tu!

— To ja, Giuseppe. — Jej miętka, drobna dłoń spoczęła na mej głowie. Niech tak zostanie na wieki!

Coś mi kapie na włosy. Łzy?

Hanko! — Obu rękami objęła mą głowę, przyciska do łona. Pod czołem czuję jej falującą dziewczęcą pierś!... Przepaść!... Otchłań bez końca!...

.....pod czołem jej pierś dziewicza...

— Halszko! Bądź moja! Jedź ze mną! Zaraz, nocą! Moje rumaki gotowe — wichrem poniosą! Jutro będziemy już w Siedmiogrodzie, a za miesiąc w słonecznej cudnej Wenecji, w moim palazzo nad Canale Grande. Będiesz panią moją i mużą i bóstwem duszy mojej! W ciche wieczory będziemy słuchać słodkich dźwięków mandolin i pieśni gondolierów, będziemy patrzeć w dal bezkresną morza... — Jedź ze mną!

Przez bór smrekowy z tętentem rumaków pędzimy wśród nocnej ciszy. Ja, Halszka, za nami dwóch uczniów i wierny pacholek z luzakiem. Droga ucieka z pod kopyt rumaków, wiatr targa mój płaszcz. Lecę jak sokół, jak kobuz na skrzydłach! A Halszka przy mnie! Jest moja, moja na wieki! Hej!... Hej, wychodź komu życie nie miłe! — Ostrzem miecza choćby przez horde pogańską wyrąbuję drogę! Piekło całe mego impetu niw wstrzyma! — Halszka u mego boku! Halszka! Halszka!...

Droga ucieka, szlak nieba z gwiazdami płynie nad nami... Już nas nie zgonia! Już jest szmat drogi za nami. Konie chrapią rozgłośnie. Zwolnić biegu! Ogarniam ramieniem kibić dziewczęcą, jej głowa ufnie chyli się ku mnie. Szukam jej ust.

Co to? Twarz mokra?... Ty płaczesz?... — Jej usta tłumią moje pytanie.

— Halszko, Tyś moja, a jam Twój na wieki. Jam jest teraz dla ciebie całym światem, a moja słoneczna ojczyzna jest Twoją. Gdy ujrzysz nasze gaje oliwne, gdy posłyszysz naszą słodką mowę, gdy się skąpiesz w kaskadzie kwiecica na korso — utoniesz w powodzi wesela i szczęścia i pokochasz naszą Wenecję więcej od swojej pochmurnej ojczyzny. Kto ujrzy Italię — nie może jej nie pokochać! — Ja jedną ze wszystkich krajów można kochać naprawdę! I życie będzie nam płynąć jak muzyka z organów pod twemi palcami! No powiedz, powiedz cokolwiek! Twoje milczenie serce mi kraje jak nożem...

— Boję się!...

— Dziecko! Przy moim boku żadna moc cię nie dosięgnie! Wytrzymaj teżki. Uśmiechnij się. Milczysz? Cóż ci jeszcze serduszko uciska? Powiedz! Ja jednym słowem rozproszę twoje obawy!

— Nie podłaz... —

— Ja?! Dzecino!... Chyba mnie wcale nie kochasz?...

—Przekleństwo ojcowe.

— Brr... zamróz idzie z tych borów! Upiory się czają w jego ciemnych otchłaniach... — Tu władztwo śmierci i cmy i grozy zniemiałej. Ach, do Italji, do Italji!... Tam nic nas nie dosięgnie!...

— Nie będzie śmiał... A choćby nawet, to moje błogosławieństwo przeważy go u Boga. Ach, furda! W konie!

Veni Creator! Veni Creator!... — grzmiały organy. Ołtarz bije łuną światła. Książd w białej kapie. — Halszka w bieli u mego boku, sama biała jak kwiat jabłoni. Idziemy przez kościół na zamku węgierskim.

A potem słowa przysięgi... Nasze ręce drżą stują związane...

Moja, moja, moja!...

A potem droga wśród kwiatnych puszt. Halszka w kolasce, ja przy niej na koniu, za nami nasz po-

czet... Hej!... Słońce, kwiaty, pieśni skowronków!...
A Halszka ze mną! Jedziemy do Wenecji! Dziw, że
serce tyle szczęścia może pomieścić!

Moja pracownia wenecka — mój świat — a ja
jego twórcą i bogiem. Tu każdy kąć wypieszczony
mem okiem. Każdy sprzęt, rzeźba czy obraz z du-
szy mojej wyrosły i duchem moim z całością sple-
ciony, a jam jest węzłem osnownym, przez który
wszystkie nici przechodzą.

Ile tu kwiecica! Woń kwietna wszystko przenika
i jest jedności spoidłem. A teraz przybył tu sprzęt
jeszcze nowy i bratnim uściskiem się złączył z całą
komnatą, jak perła w klejnocie spleciona pękami
kwiatów ze złota z iskrami brylantów, połyskiem
opali, zadumą tęską szafirów i hardym migotem
rubinów. — Organy!

Gdy ja przy stalugach pracuję — żona moja
gra. Muzyka jej łagodnymi splotami przewija się z
wonią kwiecica, jak dym z alabastrowej amfory
przed ołtarzem Westy z błyskami złotymi świec.
Ta przedza ogarnia mnie, upaja, unosi na boskie wy-
żyny — z pod pendzla mego wykwitła bóg.

Żona moja gra...

..... i znów ta smutna nuta? Skąd w niej tęskno-
ta?! Nie mogę! Odkładam paletę... Tam, wdali za
oknem, gdzie roztocz laguny — słońce zachodząc
tańczy wesoło na falach. Z Canale biegnie swawol-
na pieśń gondoljera, gdzieś indziej ognista muzyka
i brzęk kastanetów i śmiech perlisty... — Ona tę-
skni! Za czym, do czego?... Do swoich borów cie-
mnych, kryjących upiorne widziadła?... I jakaś trwo-
żna nuta się wplata... Cóż to?! — Zgroza! — Ur-
wała!

— Halszko! — już jestem przy niej. — Co ci!
Coś tak drżąca i blada?... Czemu ze zgrozą patrzysz
w ten namiot z tkanin tureckich?... Halszko, co ty
tam widzisz, na Boga!

— Ojciec!

— Wszelki duch... Halszko!... Dziecino! Skąd ci

to przyszło? Uspokój się. Nikogo tu niema. To faun
stoi brązowy z pochodnią. Halszko! Ręce twoje
zimne jak lód, a głowa żarem płonie... Tyś chora!...
Chodź ze mną na dół. Zaraz medyka...

Półmrok, szepty, stapania na palcach, west-
chnienia, woń leków i, i, i... I skończyło się. Coś pę-
kło. Coś się rozbiło... Alabastrowa amfora leży w
skorupach... w kurzu i w popiele... zdeptana... Sple-
tały się wszystkie nici... Skończył się mój świat,
skończyłem się ja sam... bóg... cha, cha, cha... Kto
to się śmieje!... — To:.....: Nic — to — ja...

Kwiaty. Zbiegły się tu wszystkie do Św. Marka.
Barwnym tłumem obstały... na środku nawy pod
kopułą. Cisną się, wyciągają szyje... zagładają —
ciekawe. Świece płoną... Zawsze te same, obojętne...
Nic je nie obchodzi. Organy grzmia... Co za potęga!
...Jak to było! Veni Creator?... Oj, nie, nie chcę.
Nie pamiętam, nie wiem...

Po jakimu to: Veni Creator?... Gdzieś to sły-
szałem. Nie, nie pamiętam. Coś znaczy, ale nie
pamiętam. Nie, nie chcę myśleć. Nic nie chcę! Już
się wszystko skończyło. Jeszcze tylko organy grzmia.
Hymn śmierci. Przebrzmia ostatnie akordy, skona
w załamach muru ostatnie westchnienie i wtedy już
nic. — Śmierć.

Za ścianą ktoś gra na fisharmonji. Na ścianach
pełzają światła z ulicy. Stara moja, wytarta oto-
mana przytuła mnie do swych sprężyn kalekich.
Na dworze deszcz w rynnach dzwoni, wicher zaci-
na... — Nie ruszę się nigdzie! Niech świat się cały
zawali! — Mnie dobrze: miękko, przytulnie. Spoję
sobie w takt muzyki, co mi się tylko podoba. Mogę
być królem i bogiem, mogę żyć we wszystkich cza-
sach... Na Ziemi, na Marsie, a choćby na Gwieździe
Polarnej!

W I E D Z A

LEGENDA PRYMITYWU

Wielbił ongiś sentymentalny psychopata J.
J. Rousseau błogosławione rozkosze i
wysokie wartości etyczne prymity-
wu społecznego i z namaszczeniem kapła-
na głosił ewangelję powrotu do „stanu na-
tury“, nie skażonej jeszcze przez znieprawiającą
jakoby wszystko i wszystkich... kulturę. — Po
nim długi, ciągnący się po dzień dzisiejszy łańcuch
jego epigonów, abnegatów kultury i rozbitków życio-
wych, którym duszno się robi i nieswojo w potężnych
kleszczach współczesnej kultury, wymagającej od
jednostki wyrzeczenia się doraźnych przyjemności
i ohamowania egoistycznych impulsów na rzecz in-

tensywnych, na daleką metę i odległe cele zamie-
rzonych wysiłków woli, powtarzał zgodnym chórem
sądy, potępiające kulturę i ewolucję życia społeczne-
go, apoteozując natomiast idyllę życia społeczeństw
pierwotnych, ich wyższość etyczną, ba! — nawet
kulturalną!

Na szczęście, w ciągu 19 wieku rozwinęła się
z potężną żywotnością nowa nauka: etnologja,
która za główny przedmiot obrała sobie badanie ży-
cia społecznego, kultury materialnej i duchowej, ży-
jących dziś jeszcze na kuli ziemskiej „ludów pier-
wotnych“, zwracając równocześnie baczną uwagę
na „przeżytki“ tej pierwotnej kultury i zmiany, jakim



A. DIEFFENBACHER.

SCENA Z EPOKI KAMIENNEJ: CHOWANIE ZWŁOK.

one podlegały w ewolucji dziejowej w społeczeństwach barbarzyńskich i cywilizowanych.

Etnologia, mimo stosunkowo bardzo krótkiego czasu swego istnienia, położyła już olbrzymie zasługi; osiągnęła niezwykle cenne wyniki.

Jak z jednej strony, wspierając archeologię, prehistorję i historję, w wyższym stopniu, niż którakolwiek z tych nauk umożliwiła nam odkrycie brakujących „ogniwi” łańcucha rozwojowego kultury i życia społecznego ludzkości, tak z drugiej — ona to właśnie udostępniła nam wniknięcie w niesłychane bogactwo tkanek i złożeń współczesnej kultury, stawiając ją w odpowiedniej i właściwej perspektywie przed oczyma badacza. Wiadomo przecież, że nic nie jest tak trudne do teoretycznego, obiektywnego ujęcia i zrozumienia, jak ta atmosfera kultury, którą oddychamy od dziecka, kultury, która stała się treścią, własnością i warsztatem naszej duszy, której kategorjami i sprawdzianami posługujemy się bezwiednie na każdym kroku, zarówno w naszych najgłębiej osobistych przeżyciach jak i w ocenie innych ludzi, czy wartości kulturowych względnie instytucyj społecznych.

Tkwi w tem niezaprzeczenie głęboka ironja dynamiki życia społecznego i kultury, że z tej nauki właśnie, która — w większej, niż jakakolwiek inna, mierze — opierała się w genezie swej na antyspołecznych dążnościach duszy ludzkiej, miała

przyjść w niedługim czasie jedna z najsilniejszych afirmacyj współczesnej kultury i życia społecznego. Z pewnością jednak dowód to wielkiej dojrzałości naszej kultury, że wiele, bardzo wiele najbardziej żywotnych kręgów jej labiryntu wspiera się naogół mocno i dość trwale właśnie na kolumnach antyspołecznych dążności psychiki ludzkiej.

Przecież w genezie etnologji źródłową dążnością była a w antur nic z ość podróżujących, żądza nowych doświadczeń, dążność zasadniczo antyspołeczna, bo nie zadowolająca się wartościami własnej grupy społecznej i unormowanemi przez nią schematycznie (przez prawo, zwyczaj, pojęcie etyczne i t. p.) stosunkami między-osobowemi, lecz szukająca poza własną grupą nowych treści, nowych przeżyć psychicznych, nowych, nieoczekiwanych, bo niczem nie uregulowanych zetknięć i stosunków społecznych.

I z tych właśnie postaw psychicznych wywodząca się genetycznie etnologia, zburzyła wkrótce doszczętnie, osiągniętami przez nią wynikami, sentymentalną legendę idealizującą sielankową prostotę i szczytne wartości etyczne „błogosławionego stanu natury”.

Niewątpliwie, — nasza kultura, a przede wszystkim nasze życie społeczne, humanitaryzm jego stosunków, dalekimi są od najskromniej choćby sformułowanego ideału. Niemniej jednak, najgro-

źniej nawet piorunujący na współczesną kulturę pesymista nie zamieniłby na stałe — po bliższym poznaniu — swego obecnego, chronicznego stanu niezadowolenia, na tryb życia człowieka pierwotnego i jego więcej niż wątpliwą wyższość etyczną.

Mniejsza z tem, że niesłychany prymitywizm narzędzi i wogóle techniki ujarzmiania przyrody zmusza człowieka pierwotnego do ustawicznej, żmudnej, absorbującej wszystkie siły ducha walki z otaczającym go światem natury o zapewnienie sobie czysto animalistycznego bytu, o zaspokojenie najbardziej elementarnych potrzeb jego organizmu, — pozostawiając odłogiem kulturę duchową, uniemożliwiając jej postęp, rozbudowę. Dla apostołów powrotu do „stanu natury“ prymitywizm kultury materialnej był i jest przecież najistotniejszym warunkiem szczęścia ludzkości. Podług ich wywodów, właśnie jej rozwój miał zniszczyć całą słoneczną idyllę pierwotnego ustroju społecznego, znieprawić „dobrą“, „altruistyczną“ z „natury“ psychikę ludzką. Mniejsza nawet, że w tych warunkach życia człowiek pierwotny tak dalece nie zdolny jest uświadomić sobie drzemających w jego duszy możliwości rozwoju, że większość zwierząt uważa za istoty wyższe od siebie zarówno siłą fizyczną, jak własnościami magicznymi i duchowymi, że oddaje im cześć religijną, jako „przodkom totemistycznym“ swego plemienia czy klanu. Ostatecznie — dla pewnego typu idealistów i taki stosunek do świata zwierzęcego nie jest pozbawiony zabarwienia atrakcyjnej sielanki.

Ale widocznie żaden z apostołów prymitywu nie uświadomił sobie tego faktu, nie przeczuwał go nawet, że można wprawdzie wyzwolić człowieka od „balastu“ kultury, ale nikt i nigdy nie zdoła go uwolnić od własnej jego duszy i ukrytych w niej instynktów, uczuć i dążeń. Tak, jak żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że kultura uczuć nie jest darem niezapracowanym, który człowiek przyniósł na świat ze sobą, ale wciąż jeszcze dojrzewającym owocem ewolucji wielu tysięcy lat, która dokonywała się w całokształcie struktury życia społecznego i kultury.

W świetle wyników etnologji rozbiła się wprawdzie w puch równie racjonalistyczna jak fantastyczna koncepcja Hobbes'a, podług której człowiek w stanie pierwotnym był stworzeniem anty-społecznym, żył wyłącznie w odosobnieniu i ustawicznej, zacieklej walce z innymi ludźmi. Niemniej jednak etnologja wykazała dowodnie, że życie społeczne na poziomie pierwotnym dalekie jest od sielanki, a psychika człowieka dalszą jeszcze od ideału wrzuszającej dobroduszości.

Jeśli ludzkość cywilizowana zbliża się wciąż — choć nie bez chwilowych upadków — do poziomu, na którym dusza ludzka kieruje się nietyle wprawdzie samym intelektem, ile miarkowanymi przez rozsądek a coraz bardziej różnicującymi się uczuciami; jeśli w postępie ewolucji kulturowej ludzkość uczy się coraz lepiej poznawać jakość i kierunki dążeniowe sił, tkwiących w psychice człowieka i coraz umiejętniej wyzyskiwać je dla twórczości w dziedzinie kultury czy doskonalenia etycznego; jeśli wreszcie rozwój takich nauk jak psychologia, psychopa-

tologia i socjologia, odsłania przed nami i uświadamia w jaki sposób te właśnie siły psychiczne, zwłaszcza nasze uczucia i dążenia, fałszują nam całą rzeczywistość świata zewnętrznego i... wewnętrznego, jak i dlaczego zniekształcają przedmiotowe ujęcie przyrody, stosunków społecznych, wartości kulturowych i naszego własnego „ja“; jeśli więc człowiek cywilizacji zachodniej uczy się stopniowo posługiwać własną psychiką, jako narzędziem twórczości, narzędziem, którego braki i niedostatki zna i stara się je wyrównać, uzupełnić czy korygować — człowiek pierwotny jest nieświadomym swej roli narzędziem i ofiarą własnych popędów, własnych instynktów, własnych uczuć. Przedewszystkiem uczuć o silnym natężeniu: afektów. One to tworzą sieć, w której wikła się bezwiednie dusza człowieka pierwotnego, one stwarzają w jego umyśle pryzmaty, w których załamuje się świat zewnętrzny i jego własne „ja“, one powodują, że ten człowiek kieruje się tak dalece odmiennym typem myślenia (nawiasem mówiąc niesłychanie trudnem do zrozumienia), że nazwano go „przedlogicznym“, — dla odróżnienia od naszego, logicznego. My posiadamy dziś wciąż narastające zróżnicowane i wyspecjalizowane systemy nauk przyrodniczych i humanistycznych, bogatą, z dnia na dzień doskonalącą się technikę ujarzmiania przyrody, wreszcie systemy wierzeń religijnych i norm etycznych, apelujących do wysubtelnionej kultury uczuć. Za to wszystko, za całą wiedzę ścisłą, technikę, filozofję, religję, posiada człowiek pierwotny system wierzeń, formuł i rytualizowanych czynności magicznych, których zasadniczym źródłem są nie przedmiotowa obserwacja i wykrycie faktycznych związków przyczynowych w przyrodzie, lecz rzutowane bezwiednie w świat zewnętrzny te konflikty i związki jakie wytwarzają w jego nierozwiniętym umyśle własne jego afekty i dążenia.

Cała przyroda, nawet martwa, ożywiona jest w przekonaniu człowieka pierwotnego przez jakieś bezosobiste, tajemnicze siły magiczne, obdarzone nadnaturalną potęgą, nazwane w języku polinezyjskim „mana“.¹⁾ „Mana“ tkwi w stanie utajonym nie tylko w przyrodzie czy narzędziach człowieka, ale i w ludziach, funkcjach społeczno-religijnych czy ekonomicznych, ba! — nawet w pewnych słowach. Siła ta może być dobra w skutkach, ale częściej, z natury swej, jest zła, wroga człowiekowi. A ponieważ każda, choćby zupełnie bezwiednie wykonana, nieopatrzna czynność, czy wypowiedzenie zakazanego słowa, bez uprzedniego wypełnienia przepisanych ostrożności i formuł magicznych, może spowo-

¹⁾ Ta sama siła (nieco szerzej pojęta) nazywa się u murzynów szczepu Bantu (środk. Afryka) — „tżina“. W tej pierwotnej magii kryją się źródła całej późniejszej techniki, nauk przyrodniczych, pojęć filozoficznych i religijnych. Ona też jest najpierwotniejsza i najbardziej ogólna formą późniejszej wyspecjalizowanej magii chaldejskiej. Szczątkowe przeżytki tej magii żyją u naszego ludu w formie różnych praktyk czarodziejskich i formuł zabobnych.

dować groźne w następstwach, nietylko dla życia i mienia jednostki, ale nawet dla całej jej grupy, wyładowanie tej złowrogiej siły „mana“, przeto wszystkie, przynajmniej wszystkie „ważniejsze“ — zdaniami człowieka pierwotnego — funkcje życiowe czy społeczne: jedzenie, polowanie, sporządzanie narzędzi, obrzędy a nawet proste stosunki społeczne, jako magicznie niebezpieczne, muszą się odbywać w pewnych ściśle określonych warunkach i tradycją przekazanej, zrytualizowanej formie. Drobne, indywidualne, wszystko jedno: świadome czy bezwiedne odchylenie od tych rytualnych form wykonywania funkcji magicznie niebezpiecznych — uważane jest za groźne w skutkach przestępstwo społeczne. — Że w tych warunkach życie człowieka pierwotnego dalekiem jest od przedziwnej prostoty i cichej, głębokiej a kojącej radości, jakich dopatrują się w prymitywie abnegacji kultury—to pewna! A przecież żadna rafinowana obłuda kultury, ni perfidja jednostek żądnych władzy nie narzuciła mu tych wierzeń. Stworzył je sam, choć nieświadomie, z głębokich pokładów własnej duszy. W ostatnich latach dopiero, badania psychoanalitycznej szkoły Freud'a i jej licznych już dzisiaj kierunków, rzuciły niespodziewany snop światła w bardzo ciekawą psychogenezę tych wierzeń, stwierdziwszy fakt występowania analogicznego typu myślenia „przedlogicznego“ czy „magicznego“ w pewnych wypadkach zaburzeń psychicznych, nawet u jednostek wysoce kulturalnych. Psychoanaliza to wykryła, że jednym z zasadniczych źródeł magii i jej całego rytuału jest niedostateczne stłumienie tych dążeń i uczuć duszy ludzkiej, których bezpośredni wyraz i zaspokojenie zostało zahamowane zarówno przez elementarne wymagania życia społecznego, jak i przez granice, które realizacji dążeń ludzkich (przy danym poziomie techniki) zakreśliła przyroda.

Ale bardziej wymownie niż w magii i bezpośrednio wyrażają się przedziwne skarby okrucieństwa, krwiożerczości, nienawiści, żądzy walki itp. cech psychiki ludów pierwotnych w ich zwyczajach i instytucjach społecznych. Rafinowane znęcanie się nad jeńcami i rozkoszowanie widokiem ich cierpień; dobijanie ludzi chorych, zabijanie i pożeranie dzieci przez własne ich matki, czy tuczenie żon w miłym zamiarze urządzenia sobie smakowitej uczyty — oto niektóre tylko z objawów tej „pocziwej“ duszy człowieka w stanie natury.

Z pewnością też moralista, rzucający gromy potępienia na współczesną „nawskróś egoistyczną, pozbawioną altruizmu i elementarnych zasad etyki“ kulturę i jej wyuzdanie, pogodziłby się skwapliwie z niedomaganiem stosunków panujących w Europie, gdyby miał wybierać między pojęciami etycznymi i normami społecznymi ludów cywilizowanych a prymitywnymi, z reguły odnoszącymi się tylko do członków własnej, nielicznej grupy normami etyczno-społecznymi ludów pierw., sankcjonującymi absolutne bezprawie, nienawiść, przemoc, okrucieństwo i podstęp w stosunku do osobników należących do obcych grup. Pogodziłby się tem chętniej, gdyby dowiedział się wreszcie, ku własnemu zdumieniu, że okrzyczane wyuzdanie seksualne ta-

kiego Paryża czy Berlina jest tylko powrotną falą — na wysokim poziomie kulturalnym — tego niesłychanego wyrafinowania zmysłowego, spotykanego u większości ludów „pierwotnych“, — rozwiniętego bynajmniej nie pod wpływem zetknięcia z wyższą kulturą, — które powoduje tak paradoksalny z naszego stanowiska fakt, iż właśnie w „obrzędach uobywatelenia“, pełnych przerażającego erotyzmu i wstrząsającej grozą symboliki bolesnych operacji i okrutnych prób wytrzymałości a spełniających u tych ludów tę samą funkcję, jaką u nas wypełnia wychowanie w rodzinie i w szkole, czyli wprowadzających dorastającą młodzież w obowiązki i tajniki życia społecznego i obrzędowego i nadających jej pełne prawa „obywatelstwa“ — przygotowanie młodzieży do wyuzdanego hedonizmu seksualnego przez specjalne „operacje seksualne“ i odpowiednie tańce zajmuje niemal $\frac{2}{3}$ całej treści owych „obrzędów“ (trwających zazwyczaj 2—6 lat). Cóż dziwnego tedy, że wszelkie ekscesy na tle płciowym, o ile tylko odbywają się zgodnie z tradycyjnymi normami społeczno-magicznymi (czy religijnymi) nie są bynaj-



Z okrutnych obyczajów Indian czerwonoskórych: ofiara i modły błagalne. — Dziś za wpływem kultury europejskiej obyczaje te są już w zaniku.

mniej przedmiotem oburzenia opinii społecznej ludów pierwotnych? Przeciwnie — posiadają charakter obrzędowy usankcjonowanej tradycją instytucji społecznej!

A przecież to jeszcze daleka od wyczerpania litania „sielankowych“ rozkoszy i wcale nie najjaśniejsze objawy „wyższości“ etyczno-społecznej tych ludów.

Iluzją lub raczej idealizującą halucynacją umysłu, znużonego przygniatającą złożonością współczesnej kultury, jest tedy legenda o „błogim stanie natury“ — jeśli nie popolitem kłamstwem. Zrodziła

się w psychice ludzi, których patos zawiedzionej ambicji załamał się wolałą negacji wszelkich wartości kulturowych i społecznych. Lub, — może to z pod tych złóż psychicznych, które nawarstwiły się w duszy człowieka poprzez wielowiekową ewolucję kultury i życia społecznego, wydobyły się, gdzieś, z zasypianych szarą codziennością życia głębin, prapierwotne, buntujące się przeciw wszelkiemu ujarzmieniu, dążności psychiki ludzkiej i skrzepliły w tęsknocie legendy, idealizującej ów „złoty wiek“ prymitywu...?

TADEUSZ SZCZURKIEWICZ.

JAK POLSKA DŁUGA I SZEROKA

Ś L ą S K C I E S Z Y Ń S K I.

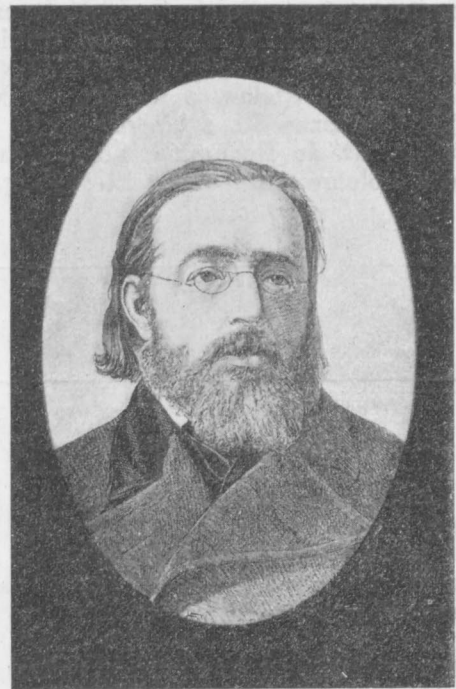
POŁOŻENIE GEOGRAFICZNE, PRZESZŁOŚĆ HISTORYCZNA, SKARBY KOPALNE.

I.

Ta odwieczna ziemia piastowska, zmienną koleją losów w obce ręce oddana, już swoim położeniem geograficznym zdawała się być na długą niewolę skazana. Bo oto klinem wciskają się w nią czeskie Morawy i pomiędzy rzekami Odrą a Ostrawicą rozdziela ją na dwie części: zachodnią — dawniejszy obwód Orawski i wschodnią — dawniejszy obwód Cieszyński. Obie te części są ku granicy pruskiej najzupełniej odsłonięte. Widzimy więc, że ludność miejscowa, polska narażona być ciągle musiała na wpływy czeskie z jednej strony, a drugiej na zachłanność pruską, dążącą stale do ujarznienia słowiańskich plemion. Gdy więc dzieli Śląsk od Prus przeważnie sucha granica, dalej płyną pograniczne rzeki: Opa, Odra, Olza i Wisła. Od Małopolski oddziela go rzeka Białka, dalej zaś ciągnie się na granicy pasmo góry Baraniej. Na południe, od Węgier i Moraw tworzą Śląskowi mur obronny Beskidy, ku zachodowi płynie rzeka Ostrawica. Ten piękny malowniczy kraj przecinają dwa pasma gór, jedno z nich: Sudety rozciągają się dalej na ziemiach niemieckich, drugie: Karpaty rozgałęziają się na całym obszarze kraju, jako pasmo średnich gór, Beskidami zwane. Najważniejszą rzeką Śląska jest Wisła, która tu bierze swój początek. Jaka wspaniała jest dolina, z której ta królowa rzek polskich wypływał! Otaczają ją góry, jakby ramę dla niej stanowiąc; szumią w nich potoki, a ciemne iglaste lasy w ich nurtach się odbijają. I oto patrzmy. Pomiędzy skałami kryje się jakieś czarne, ponure bagnisko, jakiś jaśniejszy prąd się z niego wydziela, to nasza droga Wisielka wypływa, aby objąć w posiadanie ziemie polskie, hen, daleko, aż do Bałtyku. Czuwa nad temi jej pierwszemi krokami poważna Góra Barania; wznosi się ona nad jedną z najpiękniejszych dolin w świecie. Spada tam ze stromych skał wodospad

Malinka w przepaść bezdenną; w skałach tych znajdują się tajemnicze jaskinie. Odrywając się od tego dzikiego krajobrazu, przez który nawet przepływająca Wisła nazywa się Czarną Wisielką, oko nasze zatrzymuje się na ciągnącej się przez góry ślicznie utrzymanej szosie, która idzie aż do samych Węgier. Co to jednak widzimy po jej brzegach? Oto wysokie wały ziemne, które usypane były tu niegdyś w celach obronnych, walczyć bowiem ludność z obcymi najazdami ciągle była zmuszona. Dziś w dolinach wśród gór pasą się liczne trzody, wesoly juhas nuci sobie piosenkę i głośno wykrzykuje. A tam w dali ciągną się siwe grzbiety Tatr, w których, podług baśni ludowej, śpią zakuci w stal rycerze; budzą się oni zawsze, gdy trzeba walczyć o sprawę narodową. Stolicą polskiej, wschodniej części Śląska, przyznanej nam po skończeniu wielkiej wojny, jest miasto Cieszyn. Obwód cieszyński obejmuje następujące miasta: Cieszyn, Jabłonków, Frydek, Frysztat, Polska Ostrawa, Bogumin, Strumień, Bielsko i Skoczów. Niestety został on podzielony; jedne miasta zostały przy Polsce, drugie dostały się Czechom, tak, że pod samym Cieszynem już obca granica przechodzi. Cofnijmy się myślą w przeszłość, a przekonamy się, jak to na tej pięknej ziemi śląskiej walczone wciąż o jej posiadanie. Setki wsi polskich na jej obszarze świadczą niezbitnie o jej polskim charakterze i do roku 1164 była ona nieodłączną częścią składową Polski. Bolesław Krzywousty jednak, dzieląc państwo Chrobrego pomiędzy swoich synów, jak to było wówczas w zwyczaju, oddał cały Śląsk najstarszemu synowi Władysławowi. Synowie tego ostatniego znów ziemią i panowaniem na niej się dzielili. Był to duży obszar, obejmował bowiem cały Śląsk — i tę część jego, która potem dostała się Prusom i tę, co była potem w mocy Austriaków, było się więc czem dzielić. Z tych podziałów jednak wynikała słabość poszcze-

gólnych księstw, tak, że ich władcy ciągle o pomoc u obcych kołatać musieli, wobec pragnących je zagarnąć Niemców i Czechów. Na tej obcej pomocy tak wyszli słabi i niezaradni Piastowicze, że już w 1292 widzimy ks. Cieszyńskie, jako podległe koronie czeskiej. Stąd to Czesi dziś rościli sobie do niego prawo, podstępem niegdyś zdobyte. Nie dosyć na tem. Nawet jeden z najmądrzejszych i najlepszych królów polskich Kazimierz Wielki, zniewolony trudnemi okolicznościami zewnętrznymi, zrzekł się praw do tej krainy w 1334 r. na rzecz Czechów. Rządzili tam jednak jeszcze książęta z rodu Piastów, lecz nie samodzielnie, bo zwierzchnią władzę królów czeskich uznawać musieli; że jednak mieli w duszy polskie umiłowanie wolności, świadczą te swobody jakie ludności nadawali. I tak w 1364 r. nadał książę Przemysław wielkie przywileje miastu Cieszynowi, to znów w 1416, syn jego Bolesław pozwolił mieszczanom nabywać dobra ziemskie, co tylko szlachcie było przyznane. Książęta budowali też klasztory i kościoły, ozdabiali miasta i zostawili po sobie wiele pamiątek; jedną z nich jest stary zamek piastowski w Cieszynie z orłami polskimi. Zśród tych książąt, Kazimierz IV-ty uczynił coś bardzo dla Polski ważnego. Oto uznał on króla naszego Kazimierza Jagiellończyka za króla czeskiego, przez co połączył, pod jego berłem, oba kraje Czechy i Polskę i wcielił ponownie Śląsk Cieszyński do Polski. Przyszły znów jednak krwawe wojny; ani wały ziemne, ani mężne piersi ludu Śląska obronić nie zdołały — zdobył go Maciej, król węgierski. W 1550 r. wraca on znów do korony czeskiej. Nie opuszczają go jednak książęta piastowscy i wciąż wiążące ich nici z Polską, utrzymują. Oto jedna z najświetniejszych kart naszej historii. Hydrę krzyżacką, siejącą tyle spustoszenia na ziemiach litewskich i polskich, zgnieciono. Ks. Albert pruski upokorzony składa hołd królowi Zygmuntowi I-szemu. W uroczystościach, które temu faktowi towarzyszą, w Krakowie bierze udział książę Cieszyński Adam Waclaw. Przyjmuje on też wtedy wiarę katolicką, którą dla czeskiego husytyzmu porzucił, sprowadza z Polski zakon Dominikanów i oddaje im cieszyński kościół farny. Syn jego jest ostatnim księciem z rodu Piastów. W 1653 r. Księstwo Cieszyńskie dostaje się pod panowanie Habsburgów austriackich, którzy je wraz z Czechami zagarnęli. Po drodze do miasta Bielska, dziś jednego z najbardziej przemysłowych punktów kraju, ukazują się nam stare zamki Pogórz i Grodziec; były one niegdyś w ręku rycerzy polskich. Dalej jeszcze wśród lesistych wzgórz przeblęskują mury: Drogomyśla, Ochaba, Dębowicy, stoją one pustką i rozsypują się w gruzy, w położonych jednak wśród dolin wioskach, trwa żywe nieprzerwanie. Lud wierny swej mowie i przechowanemu od wieków obyczajowi, te utracone niegdyś ziemie, dla Polski odzyskuje. Jak też przedstawiają się stosunki gospodarcze w Cieszyńskiem: czy ziemia jest tak bogata w płody rolne, że może całą ludność wyżywić? Niestety, nie. W okolicach górzystych i leśnych, zboża i kartofli jest mało. Za czasów rządów austriackich cały zbiór płodów rolnych na Śląsku oceniano tylko na



Paweł Stalmach, budzieliel ruchu narodowego, na Śląsku Cieszyńskim.

36½ milionów guldenów. A co było tego przyczyną, poza małą urodzajnością ziemi? Oto to, że ją niemal całą objęli w posiadanie wielcy posiadacze lub fabrykanci niemieccy i czescy, pozostawiając tylko drobne 5—6 morgowe kawałki w rękach od wieków tam mieszkającego chłopu polskiego, który zaledwie może się wyżywić. Mówiąc o fabrykantach, należy nam się zwrócić do wielkich bogactw śląskich, w głębi ziemi spoczywających, a na rzecz obcych przybyszów wydobywanych przez polskiego robotnika. Rolnicy bowiem uciekają ze swoich głodnych gospodarstw do fabryk i kopalni, gdzie lepszy zarobek znaleźć mogą. Od 1890 r. gdy tylko zaczęto znajdować coraz głębsze pokłady węgla, kraj pokrywał się lasem kominów fabrycznych i szybów. Już około Jabłonkowa, który leży w przesmyku górskim, widzimy kopalnie Trzyniec, dalej Ustronie, gdzie założono olbrzymie huty żelazne.

U posiadaczy ich Prusaków, pracują Polacy robotnicy. Dalej jeszcze spotykamy Karwinę, gdzie znów znajdują się nieprzebrane pokłady węglowe. Cały prawie okręg przemysłowy przyznany został Czechom z wielką naszą szkodą, a krzywdą polskiego ludu. Jak się to jednak stać mogło? Oto w czesko-morawskiej Ostrawie, ze Śląskiem sąsiadującej, założono szkołę szttygarów, t. j. kierowników pracy w kopalniach; ona to dostarczyła majstrów, politechniki zaś czeskie inżynierów i ci wszyscy ogarnęli szyby i fabryki, spychając robotnika polskiego, wyższej szkoły pozbawionego, na najniższe stanowisko, do niższej roboty. A jednak owo zagłębie ostrawsko-karwińskie, które teraz Czechów boga-

ci, odkrył sto lat temu Polak śląski Kultyczek. Nad Karwiną króluje potężny zamek, do czeskiego hrabiego Larisza należący. Niegdyś dzierzył go polski rycerz Dersław z Rytwan, o którym piękną powieść napisał Kraszewski. I ciągną się te kopalnie długim pasem, aż do Bogumina, pogranicznego nowego węzła kolejowego, około którego pozostało

mnóstwo fabryk. Wszyscy ci fabrykanci tak niemieccy, jak czescy, czynili od długich lat wysiłki, aby ludowi polskiemu zatamować drogę do lepszej doliny. Pomimo to dźwiga się on i dąży do lepszej przyszłości.

I. W. KOSMOWSKA.

Z E S Z T U K I

ILUSTRACJE BIESIADY

BOLESŁAW KUŹMIŃSKI.

Dajemy dzisiaj reprodukcję obrazu Bolesława Kuźmińskiego „W moim domku“, oraz dwóch jego rysunków ołówkowych z Zakopanego.

Kuźmiński odcina się mocno od wielu współczesnych malarzy, którzy tak chętnie rzucają pomysły swe na płótno z rozmachem, ale bez dostatecznego opracowania. Powstają tym sposobem rzeczy piękne i niepospolitej nieraz wartości artystycznej, jednak wyglądające nieraz tak, jakby je rzucano szkicowo, nie wykończono. Kuźmiński tworzy inaczej. Talent twórczy — więc władzę istotnie żywiołową — potrafił ująć w karby. Dzieło jego każde jest przemyślane i opracowane do szczegółów. Opanowanie własnego żywiołu twórczego wybitnie go znamionuje. Ujmuje on jednak ten żywioł w karby w miarę: opanowanie nie zabija talentu twórczego.

Gdy spojrzymy na twarz, którą mamy na naszej reprodukcji, to uderza nas prostota i czystość linii oraz dokładność wprost portretowa. To samo dotyczy i innych części obrazu. Jest to wynik sumiennej pracy, która zespalając się z talentem, daje dzieła pierwszorzędne. Zważmy przytem,

że w drobiazgowej analizie artysta nie gubi zarysów zasadniczych i żywego charakteru tematu. Nie giną mu z oczu bynajmniej zasadnicze linje — i to jest miarą talentu.

Co się tyczy treści niemalarskiej naszej reprodukcji, to widzimy, że artysta wyraził tu z zamiłowaniem a subtelnie ciszę i pogodę domu własnego. Przy kołowrotku siedzi młoda niewiasta w bieli — zapewne osoba droga sercu. Zgodnie z jednym ze znamion twórczości swej, prostoty — artysta usunął wszelkie sprzęty zbędne, drobiazgi. Kobieta przy kołowrotku stanowi ośrodek całkowicie skupiający. Siedzi w bieli, otoczona śnieżystem kwieciami. Mury i zasłonięte okna odgradzają to zacisze od dalekiego gwaru miasta.

Te same znamiona — świetny talent obserwacyjny, analiza sumienna, opanowanie w technice i dokładność a zarazem szczerą prostotą — znamionują dwa rysunki z Karpat.

Znamiona powyższe twórczości sprawiły, że Kuźmiński wyrobił się na jednego z pierwszorzędných portrecistów polskich. Pragnęlibyśmy w najbliższym czasie dać reprodukcję kilku jego portretów, aby czytelnicy sami mogli przy najmniej z reprodukcji zapoznać się z tym, tak właściwym Kuźmińskiemu rodzajem twórczości.

W O L N E Ż A R T Y

MILY ZIEĆ.

Przyszły teść do przyszłego zięcia:

— Teraz otrzyma pan sto tysięcy złotych, resztę zaś po mojej śmierci...

Kandydat na zięcia roztargniony:

— A kiedy to może nastąpić?

ZALICZKA.

Naczelnik więzienia do zwalnianego więźnia:

— Bardzo mi przykro, ale przeoczyliśmy wasz termin i przetrzymaliśmy was tydzień.

— Nic nie szkodzi: odliczy mi to pan za następnym razem.

NA BALU.

— Jakże ci się podobają te panie?

— Nie znam się, mój drogi, na malarstwie.

SZCZYT SZCZĘŚCIA — BEZMAŁA.

— Ach mój drogi, nareszcie...

— Co takiego?

— Kocham i jestem kochany!

— Ależ to szczęście prawdziwe. — Czegóż chcieć więcej.

— Tak, tylko widzisz... kocham inną, a inna mnie kocha.

LOTNIK.

- Ten Leoś, to doskonale lotnik.
 — ?
 — Nadzwyczaj zręcznie ulotnił się z pieniędzmi swego pryncypała.

SZKATUŁY OGNIOTRWAŁE.

Amerikanin z Anglikiem zakładają się, czyja szkatuła wytrwalsza na ogień.

Wezwawszy kogoś na sędziego, zaczynają wychwalać swe szkatuły:

— Ja, mówi Anglik, wsadziłem raz do swej szkatuły pieska. potem rozpałem ją do białą i wyobraźcie sobie państwo, piesek wyszedł z niej cały i zdrow, jakby nigdy nic...

— Rzeczywiście bardzo wielkie zalety ma pańska szkatuła — oznajmia sędzia.

Teraz zabiera głos Amerykanin.

— A ja znów pewnego dnia wsadziłem do swej szkatuły młodego koguta, a następnie również rozpałem szkatułę do białą...

— Zapewne, gdy pan otworzył, to kogut zapiał? prze-rywa drwiąco Anglik.

— Nie panie — odpiera Amerykanin — gdym otworzył szkatułę okazało się, że kogut był zamrożony!...

U NOWOBOGACKICH.

— Czy pani lubi rauty?

— Nie, panie! Ja lubię tylko duże brylanty.

ZAMIŁOWANIE CZYSTOŚCI.

Mówi pani Malinowska do pani Wiśniewskiej:

— Wie pani moja Władzia jest nadzwyczaj czysta: gdy tylko jej się chusteczka do nosa cokolwiek zbrudzi, to zaraz zmienia na świeżą...

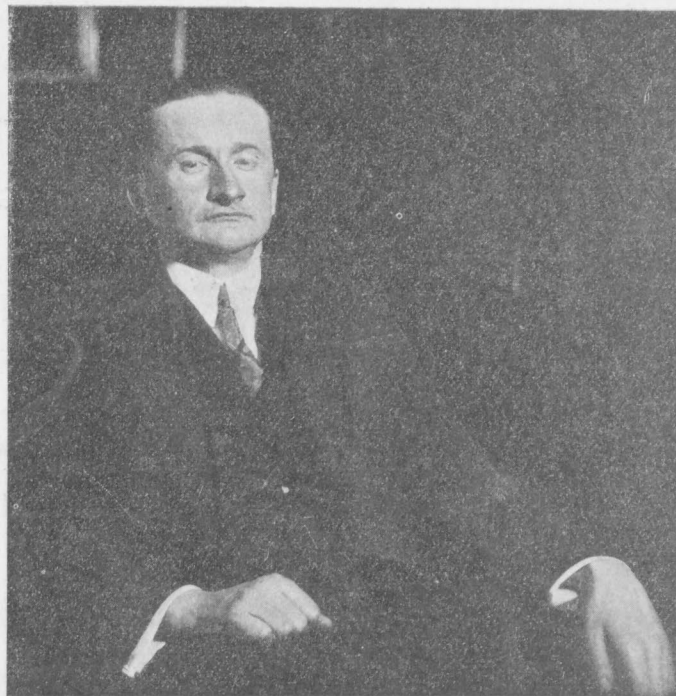
Na to pani Wiśniewska do pani Malinowskiej:

— A moja Józia, proszę pani, to taka czysta, że w szkole pożyczka chusteczek do nosa od koleżanek, byle tylko swojej nie zbrudzić.

C H W I Ł A B I E Ż A C A

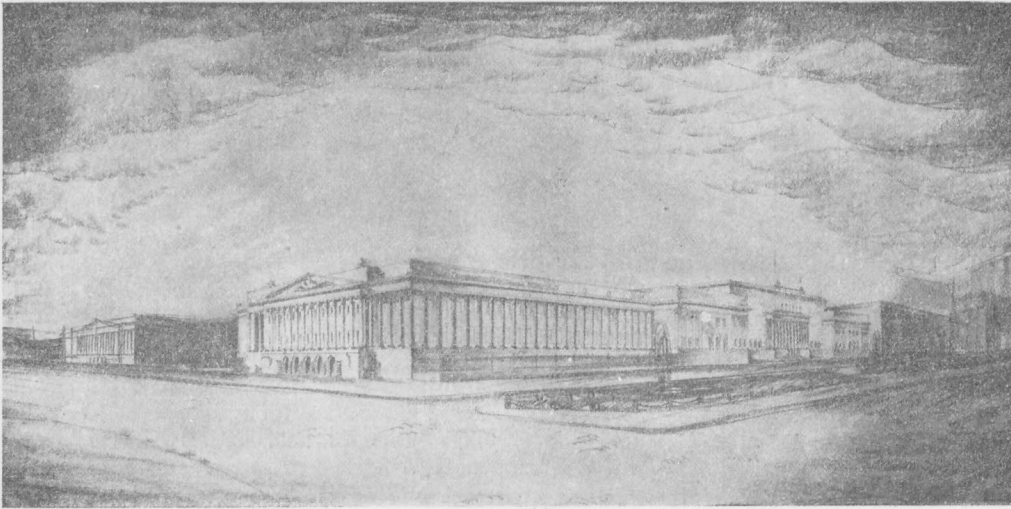


P. minister Skrzyński, wyjechał do Helsingforsu na zjazd ministrów spraw zagranicznych państw bałtyckich: Estonji, Finlandji, Łotwy i Polski.



Fot. H. Vlassak

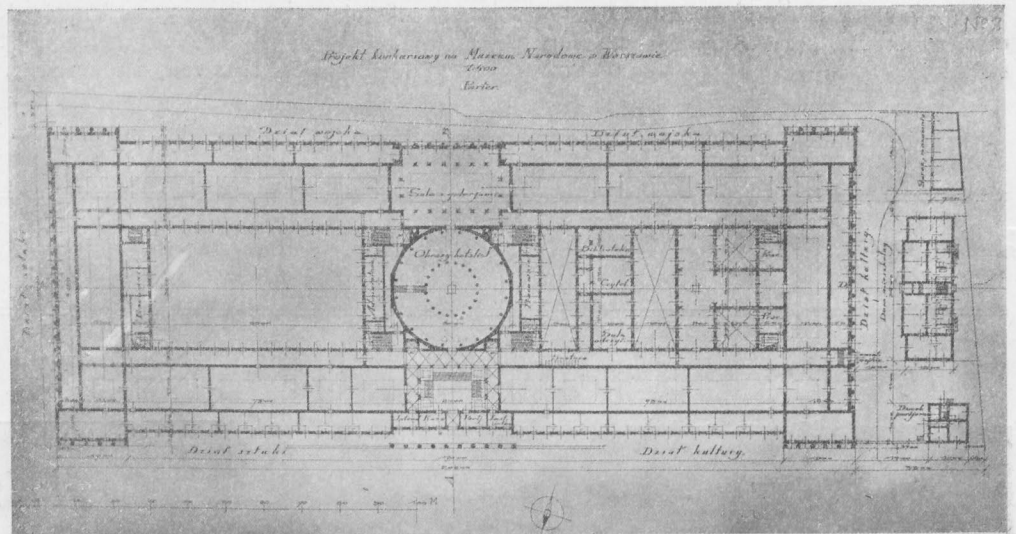
P. Komisarz Rzeczypospolitej w Gdańsku Strassburger kategoriycznie przypomniał Niemcom, z okazji polskiej poczty, o prawach polskich w wolnym mieście.



WYSTAWA PROJEKTÓW
KONKURSU NA BUDOWĘ
GMACHU MUZEUM NARO-
DOWEGO W WARSZAWIE.

Projekt Nr. 35 — dzieło arch. arch.
Dobrzyńskiej i Siemickiego. —
Zakupiony.

Plan do projektu nr. 3 arch. Niko-
demowicza ze Lwowa. — Projekt
wyróżniony i zakupiony.



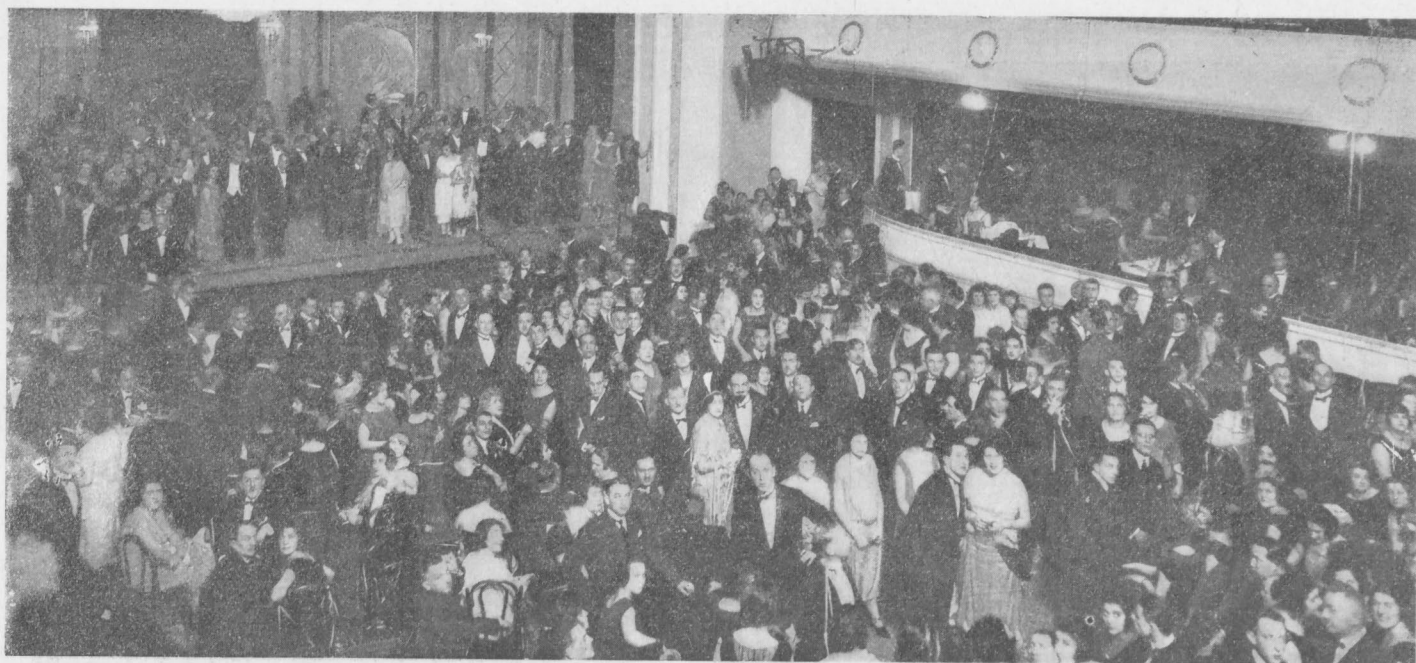
POŚWIĘCENIE NOWEGO SAMOLOTU L. O. P. P.



Samolot „Syrena“, ofiarowany Lidze O. P. P. przez Zw.
Zawodowy Pracowników Miejskich Rzeczypospolitej.



Fot. F. Vlassrk.
Grupa członków L. O. P. P. na uroczystości poświęcenia
z prezesem J. Szejczerem, arcyb. kard. Kakowskim
jen. Żeligowskim i in.



Noc Sylwestrowa w Teatrze Nowości.

Fot. St. Brzozowski.



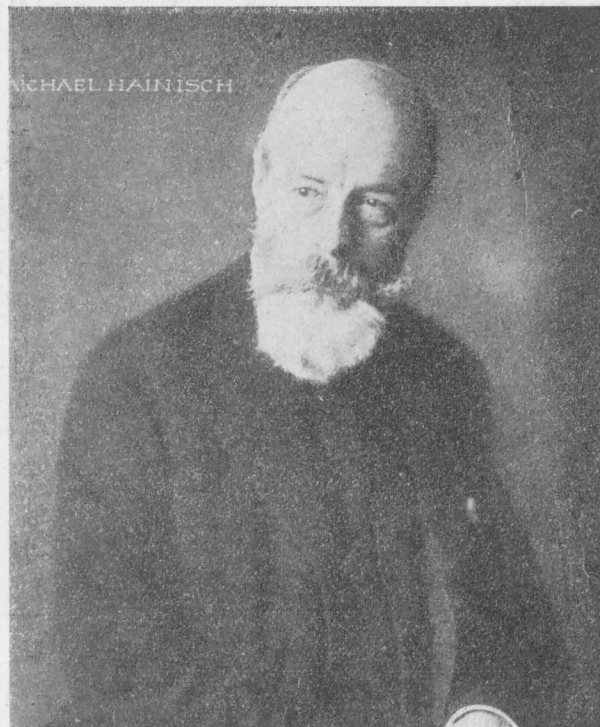
Teatr Polski — Zelwerowicz w „Odrodzeniu“.



Teatr Polski — Sulima i Gromnicka w „Odrodzeniu“.



M. Musy, nowy prezydent Związku Szwajcarskiego.

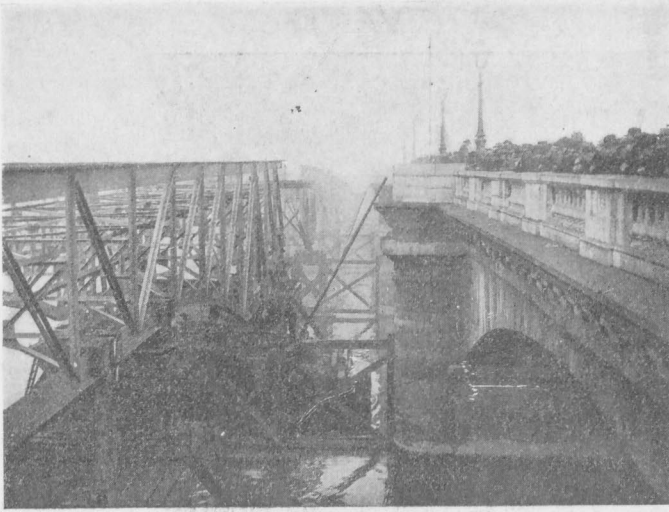


P. M. Hainisch, ponownie wybrany prezydent Austrii.

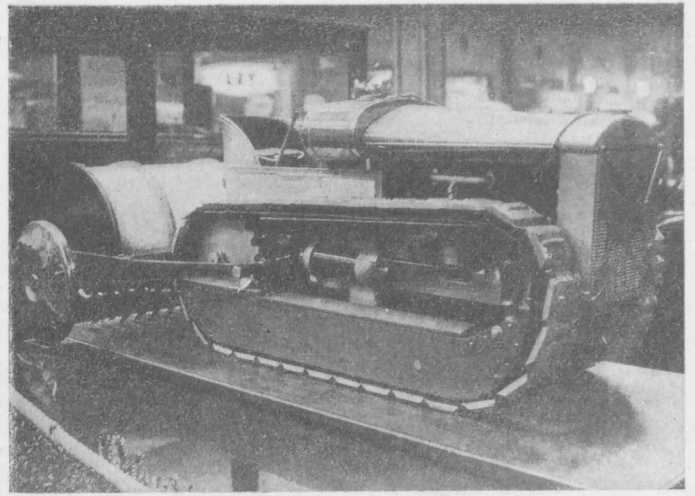


Albert Besnard, nowo obrany członek Akademii Francuskiej, dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych w Paryżu, w swej pracowni.

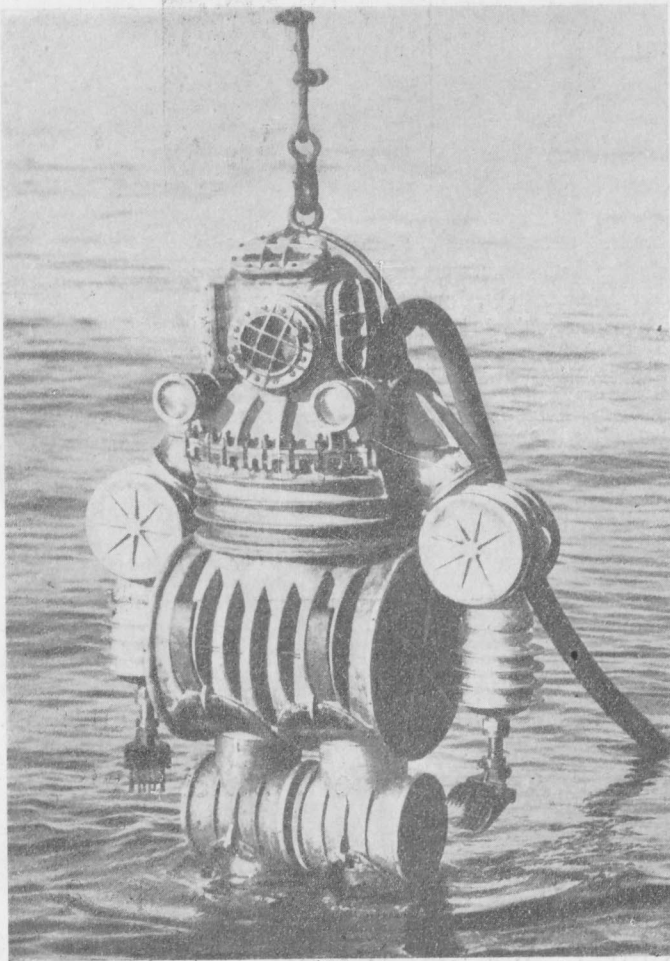
Z POSTĘPÓW i ZDOBYCZY TECHNIKI



Do kilkunastu mostów na Sekwanie w Paryżu, przybył jeszcze jeden most — obok mostu Zgody. — Warszawa dotąd obywa się, niestety, dwoma.



Techniczne zdobycze wojny — człowiek zaprzął i zastosował do potrzeb pracy pokojowej. — Oto pług czołgowy, doniosły pomysł dla postępu rolnictwa.



Specjalny elektryczny aparat nurkowy do wydobywania skarbów z okrętów zatopionych podczas wojny europejskiej.



Specjalny most samochodowy — tylko dla ruchu samochodów, zbudowano w Stanach Zjednoczonych przez odnogę Hudsonską, na południe od Albany. — Uroczystość otwarcia mostu.

Z PRZYGÓD ZDOBYWCÓW BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.



Peter Frenohen, słynny a zamiłowany podróżnik duński, badacz okolic podbiegunowych, ze swą rodziną. — Frenohena uważano do niedawna za zaginionego. Opuścił on Kopenhagę jeszcze w roku 1920 i od paru lat wszelkie wieści o nim zaginęły, dopiero niedawno, w r. ub. Kapitan Petersen po uciążliwej i pełnej przygód wyprawie odnalazł Frenohena wśród lodów i śniegów, wyglodniałego i wynędzniałego, i przywiózł go do kraju. — Z ilustracji powyższej widać, że ten fanatyczny badacz dalekich i niewdzięcznych okolic, a zarazem typ pięknego Skandynawa, żonaty jest z Eskimoską lub Finką, kobietą bliską okolicom, których tajemnicę postanowił wydrzeć przyrodzie.

Prosimy Szanownych Prenumeratorów, aby łaskawie reklamowali w naszej Administracji za każdym razem, gdy nie otrzymają numeru „Biesiady“.

Pragniemy bowiem mieć dowody, aby z kolei zareklamować na pocztę, gdzie często giną wysyłane egzemplarze, jak się przekonywamy.

PRZYPOMINAMY SZANOWNYM PRENUMERATOROM NASZYM,
ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA ROK NOWY 1925.

CHĘTNIE UMIESZCZAĆ BĘDZIEMY W „BIESIADZIE“ REPRODUKCJE WSZELKICH ZDJĘĆ
Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO PROWINCJI, BYLE BYŁY WYRAŻNE, KONTRASTOWE
PROSIMY CZYTELNIKÓW, ABY NAM TAKIE FOTOGRAFJE ŁASKAWIE NADSYŁALI.

R O Z M A I T O Ś C I



Największy zegar na świecie. — Amerykanie lubują się w nadzwyczajnych pomysłach i w olbrzymach techniki. — Mamy tutaj świeżo założony zegar w Jersey City.—Jego wskazówka minutowa ma ni mniej ni więcej, tylko 37 stóp.



Bolszewicy nie zdołali wszystkich skarbów carskich roztrwonić na propagandę. — Rzeczy o wybitnej wartości muzealnej ocalały. — Oto tron Piotra Wielkiego, ze srebra, znajdujący się w skarbcu bolszewickim w Moskwie.

Jak pisać — jak mówić.

ODPOWIEDZI W SPRAWACH JEZYKOWYCH.

PANU Z. M.

NAZAD. Przysłówek *na zad* nie jest bynajmniej rusezmem. Jest to stary wyraz polski, oddawna w języku polskim znany i uważany. Można by na to przytoczyć mnóstwo przykładów z najstarszych poetów i prozaików polskich: Kochanowskiego, Bielskiego, Orzechowskiego i t. d. (Część tych przykładów przytoczyłem w artykule „Wojna z „*na zad*“, umieszczonym w „Poradniku Językowym“ z r. 1918 lub 1919). — Tem samym i zwrot *tam i na zad* jest najzupełniej poprawny.

VIS - A VIS, A CONTO, A. Są to zwroty całkowicie obce, francuskie, zupełnie zbyteczne w języku polskim. Przecież język polski nie jest jakimś ubogim, niewyrobnym językiem, żeby mu brakowało takich dość prostych określeń okoliczności. Więc *vis-a-vis* to po polsku: *naprzeciw*, *naprzeciwko*, a jeśli dokładniej jeszcze trzeba, to — *wprost naprzeciw*. *A conto* — znaczy po polsku: *na poczet*, *na rachunek*. Wreszcie a francuskie, używane w rachunkach znaczy tyle, co polskie *po*. Np. nie: 10 klg. a 2 zł. 20 zł., tylko 10 klg. *po* 2 zł. 20 zł.

Często dla popisu używają takich „uczonych ozdób“, języka ludzie niedość wykształceni. Ale daleko trudniej wytłumaczyć te i tym podobne zwroty w ustach ludzi rzeczywiście wykształconych.

Przed laty blisko czterystu pisał Rej, że „Polacy nie ge-si... swój język mają“. My dzisiaj tak się czasem wyrażamy, jakbyśmy chcieli temu zaprzeczyć.

Z wydawnictw nadesłanych.

Otrzymaliśmy nr. setny „jubileuszowy“ Związkowca Polskiego, organu Polskiego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłowych i Handlowych. Pismo to, stworzone przez W. L. Everta, a obecnie redagowane przez M. Łaszczewskiego, wychodzi w Sosnowcu. Związek wytrwale i skutecznie broni interesów materialnych i moralnych szerokich kół pracowników umysłowych Zagłębia. Numer setny ma w pewnej mierze charakter sprawozdawczy: przynosi wiele ścisłych danych faktycznych i cyfrowych, świadczącym o szybkim rozroście Związku. Polski Związek Zawodowy Pracowników Przemysłowych i Handlowych, rozwijający się coraz bardziej, jest jeszcze jednym dowodem więcej, że inteligencja nasza weszła w okres systematycznej i wytrwałej obrony swych praw i że w organizacji swej postępuje coraz dalej.

SPROSTOWANIE. W poprzednim numerze *Biesiady* pod ilustracją na str. 16 pomyłkowo wydrukowano: „prezydent Rz. Francuskiej“ zamiast „prezydent ministrów Rz. Francuskiej“.



Epikur.



Akademja Platona.

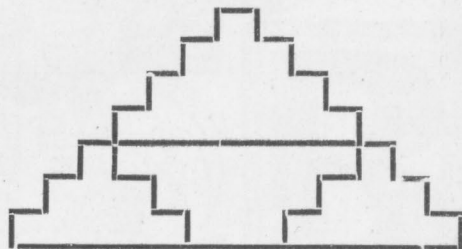
W numerze 8 „*Biesiady*“ z r. ub., dając retrospektywny przegląd rozwoju karykatury polskiej, pisaliśmy, że karykaturą bawiło się wielu z najwybitniejszych malarzy ubiegłego

wieku — m. in. Matejko. Obecnie ilustrujemy tę wzmiankę dwiema karykaturami z mało znanej serii „sylwetek starożytnych“ wielkiego mistrza.

R O Z R Y W K I

ROZWIĄZANIE ROZRYWEK Z N-RU. 4 Z R. UB.

SCHODKI

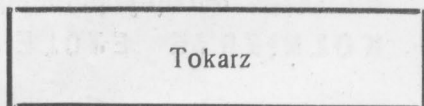


KWADRAT MAGICZNY.

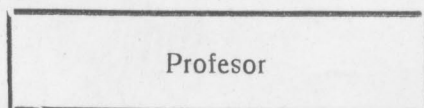
k o n a k
o s a d a
n a r e w
a d e l a
k a w a ł

BILETY WIZYTOWE.

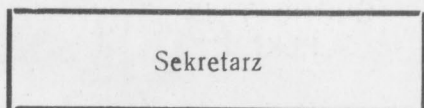
1.



2.



3.



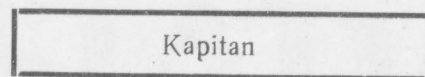
SZARADA.

Sza — ra — da

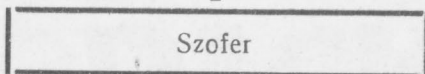
ROZWIĄZANIE ROZRYWEK Z N-RU. 6 Z R. UB.

BILETY WIZYTOWE.

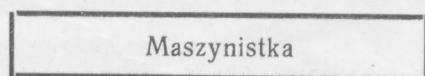
1.



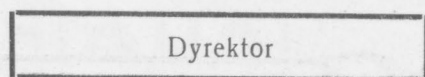
2.



3.



4.



PRZYSŁOWIA.

Karawana
Niebezpiecznie
Missisipi
Obroniono
Cytryny

ZADANIE.

1	2	3	4
5	6	7	8
		9	10
		11	12

SZARADY

Złoty
Niepogoda

ROZWIĄZANIA NADESŁALI: pp. Marja Wesselska z Brzezin Łódzkich, Kazimierz Gilewicz z Warszawy, Zofja Bylczyńska z Warszawy. Zygmunt Chudzyński z Łaska, Otton Przybyła z Włodzimierza, Władysław Adamczewski, Czesław Kozłowski z Warszawy.

Z tych nagrody otrzymali przez losowanie: p. Marja Wesselska „Przedwiośnie“ Żeromskiego, p. Cz. Kozłowski „Dom w śródmieściu“ Choynowskiego i p. Gilewicz „Kij w mrowisku“ Choynowskiego.

Prenumeratorów warszawskich prosimy zgłosić się po odbiór wygranych do administracji naszego pisma, zamiejscowym wysyłamy pod opaską poleconą.

Redaktor naczelny: CZESŁAW ROKICKI.



I-sze piętro front.

FUTRA

Na sezon bieżący poleca
KOŁNIERZE ETOLE



F. KIZYK MARSZAŁKOWSKA 119.
Telefon 155-86

F. KIZYK MARSZAŁKOWSKA 119.
Telefon 155-86.

LISY

NURKI

TUMAKI

SKUNKSY

OPOSY

KRETY

GRONOSTAJE

ELKI

GOTOWE PALTA

FOKOWE

KARAKUŁOWE

NUTRIA

MURMLE

KRECIE

BIBRETY

ŻREBCE

BARANKOWE